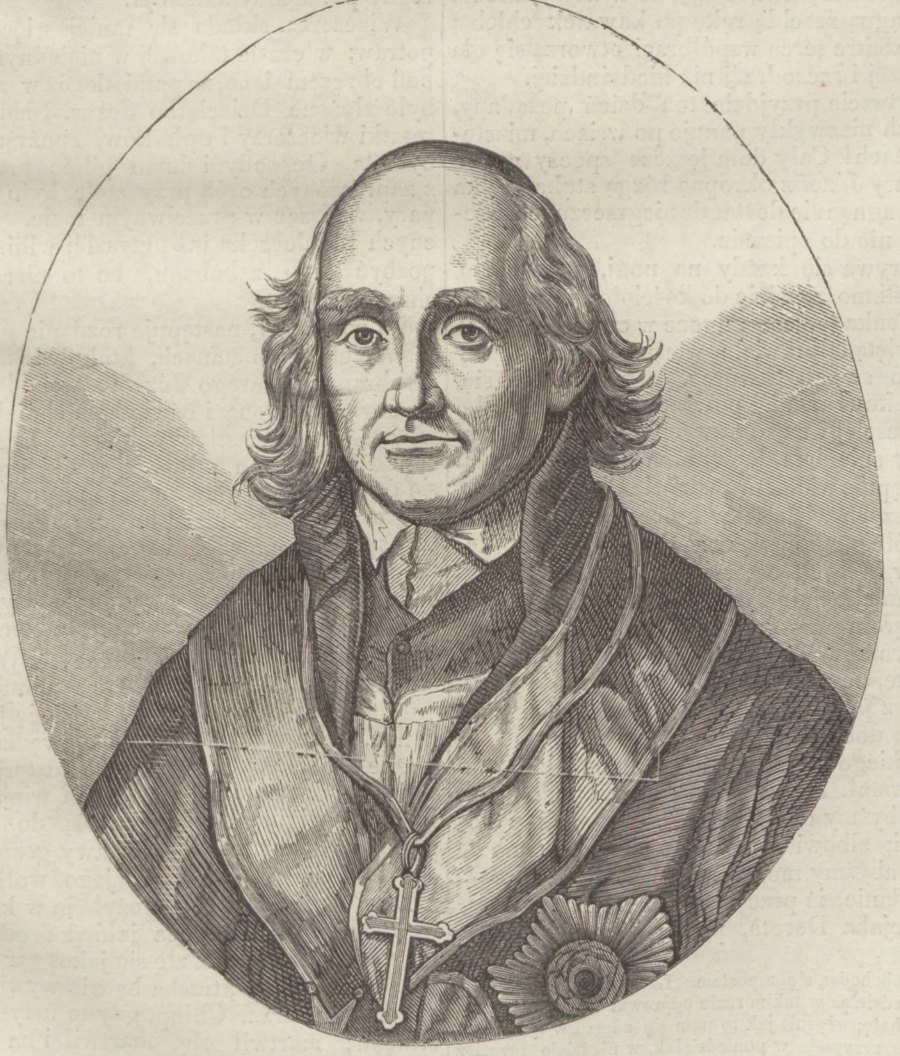
OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 8 (20) Grudnia 1865 roku.

Nr 51. | Cena w Warszawie 40 gr. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złp. kwartalnie. (Redakcja przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715). | Rok I.

TREŚĆ.—**Wigilja Bożego Narodzenia**, przez *Ks. Ksawerego Drużbę*.—**Ksiądz Biskup Jan Albertrandy**, przez *Emila Kierskiego*, (z portretem).—**Krakowianka**, powieść z życia ludu wiejskiego, przez *Jana Kantego Turskiego*, (ciąg dalszy, z drzeworytem). — **Gwiazdka**, poezja, przez *Jana Prusinowskiego*. — **Życie w puszczy**; pamiętnik sprawiedliwego człowieka, opracowany przez *Juljusza Starkla*, (dokończenie, z drzeworytem). — **Ulepszonene wieszadło do bielizny**, (z drzeworytem).



Ks. Biskup Jan Albertrandy.—(str. 407 szp. 1).—(Wycięto w drzeworytni Tygodnika Illustrowanego).

WIGILJA BOŻEGO NARODZENIA.

Wyraz ten: *wigilja*, pochodzi z łacińskiego i znaczy, straż, czuwanie. W dawniejszych bowiem wiekach, przed każdem uroczystem świętem, zgromadzali się wierni do kościoła, gdzie na modlitwie, śpiewaniu pobożnych pieśni i czytaniu ksiąg świętych, całą noc przepędzali. Ale gdy z czasem na tych czuwaniach, dziać się zaczęły nieporządki i zgorszenia, Papieże znieśli ten zwyczaj; jednakże wigilij całkiem nie znieśli, owszem naznaczyli, kiedy mają być obchodzone; przepisali na nie stosowne nabo-

żeństwo, a w niektóre nawet nakazali posty, aby z tem większem skupieniem ducha, mogli je wierni obchodzić i gotować się do następnego święta. Główniejsze z nich są: przed Bożem Narodzeniem, Wielkanocą, Zielonemi Świątkami, Wniebowzięciem i dniem Wszystkich Świętych. W niektórych stanach obchodzi się także wigilja do ŚS. Piotra i Pawła. Z tych wszystkich, najuroczyściéj i najwspanialéj obchodzimy: *Wigilję do Bożego Narodzenia* [1]).

Już na kilka dni, czuje człowiek jakąś wewnętrzną radość; czuje, że w tym dniu i weseléj i miléj mu będzie w gronie rodziny i przyjaciół odpocząć, pogawędzić, podzielić się opłatkiem i sercem. Więc z rozkoszą opuszcza chłopiec i dziewczę szkolne seksterna, a lotem ptaka pędzi do domu, do ojca, do matki; odwiedzić familję, znajomych, pogłaskać skaczącego brysia, pomodlić się w ubogim kościołku. Więc zdąża z dalekiéj podróży, szanowny mąż i gospodarz, aby uściskać żonę i dzieci, a zarobionem grosiwem, przystroić, podeprzeć chatę, ogrzać się i odżyć w życzliwem kółku domostwa; rozdać podarki i niespodzianki. Obdarty dziadek nad drogą, kalecy i nieszczęśliwi, czują, że w *wigilję* nie na próżno wyciągną zeschłą rękę po kawałek chleba; czują, że poczciwe serca współbraci, otworzą się dla nich i szczerzéj i szczodrzéj niż kiedyindziéj.

A gdy nareszcie przyjdzie ten dzień pożądany, cóż to za ruch niezwykły panuje po wsiach, miasteczkach i chatach! Cały dom jeszcze spoczywa we śnie, a już stary Józef z okropną rózgą stuka i puka po kątach, pragnąc się dostać do niegrzecznych dzieci. Strach to nie do opisania.

Ochoczo zrywa się każdy na nogi, ubiera się, i idzie, lub jeśli może, jedzie do kościoła na *Roraty* [2]). Srebrna jutrzenka jeszcze migoce w obłokach, a kapłan mszę świętą odprawia, a wierny ludek, klęczy i modli się do swego Stwórcy. Wymodliwszy się, jakoś człowiekowi raźniéj powracać do domu, bo i na sercu weseléj i na duszy spokojniéj; a i ten świat odziany śniegiem, lepiéj nam także wygląda.

Teraz następuje widok prawdziwie Chrześcijański, z tych pierwszych wieków, w których dar Boży pożywano wspólnie, z największemi biedakami i niewolnikami, w których ostatnim chlebem dzielono się z potrzebniejszemi. Teraz gospodarz i gospodyni domu, gromadzą około siebie dzieci, familją, sługi, domowników i kto się tylko nawinie, a z każdym szczerze, otwarcie, rozłamią się opłatkiem, pomówią jak z przyjacielem, poczęstują postną zakąską i życzą doczekania: *Dosiego roku.*

Zwyczaj takiego życzenia, nie wiadomo jak dawno i z czego powstał. Zdaje się do prawdy podobném, że oznacza, abyśmy od dziś za rok doczekali podobnejże chwili; albowiem *do siego*, jest to samo co *do tego*, więc abyśmy mogli do tego dnia dożyć. Lecz jest podanie, iż przed laty mieszkała w Krakowskiem niejaka Dorota, panna, poczciwa i szanowana od wszystkich, którą powszechnie nazywano Dosią. Mając lat sto, umarła w samą *Wigi*... a sąsiedzi, pamiętni na jéj dobre przymioty, łamią się opłatkiem, mówili: daj Boże, abyśmy doczekali Dosiego roku, to jest: stu lat.

Połamawszy się opłatkiem i złożywszy przyjaciołom i znajomym najlepsze życzenia, należy teraz czekać za obiadem aż do samego wieczora. Taki jest u nas zwyczaj.

Dzieci najwięcéj niecierpliwią się za tą porą, bo ich też to najwięcéj obchodzi; czują one, że im się jeszcze coś z prawa zwyczaju należy. Jakoż zaledwie ujrzą, i że tak powiem, wyciągną swem okiem gwiazdkę z błękitu Nieba, skaczą i klaszczą w ręce z radości, bo ukazanie się gwiazd, jest znakiem siadania do stołu.

Zbiera się więc cała rodzina, a w niektórych domach i zaproszony przyjaciel; a jeżeli czasem i kapłan się znajdzie, to pobłogosławi zastawione dary, i każdy, połamawszy się jeszcze raz opłatkiem, siada do stołu i spożywa czem Pan Bóg obdarzył. Patryjarchalny to i chwalebny zwyczaj, daj Boże! aby nigdy porzuconym nie był.

Wieczerza składa się mniéj więcéj, z siedmiu potraw; w czasie takowéj w niejednym domu, leży pod obrusem siano, na pamiątkę, iż w szopie, na niem było złożone Dzieciątko Jezus. Siano to, tudzież resztki wieczerzy i opłatków, spożywają nazajutrz bydlęta. Gospodyni domu pilnie przestrzega, aby z zaproszonych osób przy stole, było koniecznie do pary, wnosząc w przeciwnym razie, że ktoś z obecnych nie doczeka już przyszłéj wilji. Wartoby się pozbyć tego zabobonu, bo to nierozsądne i niechrześcijańskie.

Po wieczerzy, następuje rozdanie gwiazdki.

W niektórych stanach, ktokolwiek z domowych przebrany za starego Józefa, wchodzi do pokoju z rózgą, z zieloną i oświetloną choinką, ustrojoną w wstążeczki, ciastka i cukierki. Przedstawia się, że jest posłańcem od takiéj a takiéj gwiazdki, aby się dowiedzieć o grzeczności i postępach dzieci. Na odgłos: gwiazdka idzie! lub stary Józef idzie! dziatwa spogląda po sobie i gromadzi się w kółko. Lecz dzisiaj, straszny ten niegdyś poseł, nosi rózgę więcéj od parady, a cały egzamin kończy się na dowcipnych pytaniach i rozdawaniu ładnych książeczek, zabawek, pierników albo obrazków. W innych znów okolicach, sami rodzice tem się zajmują.

Potem, całe towarzystwo bawi się jeszcze późno w noc, lub czekając *Pasterki*, gawędzą, palą lulki i różne a różne opowiadają sobie historje. Powszechne jest mniemanie między ludem wiejskim, że raz na rok w wigilję bydlęta mówią do siebie, około północy. Jakoż, pewien ciekawy gospodarz, chcąc się dowiedzieć, co też tam jego wołki pogwarzą, zakradł się do obory, położył się w kącie i nadstawiał ucha. Wtem, łysa jałówka odzywa się do rogatego sąsiada: „na złe się jakoś zanosi?...” A tak, odpowiedział wół, trzeba będzie wywieźć gospodarza na cmentarz... Chłop, gdy to usłyszał, uciekł ze strachu; martwił się, martwił i na trzeci dzień umarł.

Mówią także, iż w wigilję o północy, we wszystkich studniach woda zamienia się w wino. Można więc iść brać co się tylko zmieści, — pamiętając przecież, że na to trzeba być albo świętym, albo bardzo odważnym, bo djabeł nie śpi, a ze wszystkiego korzysta w najokropniejszy sposób!..

[1]) Wigilje te obchodzą się z postem. Lecz jeśli która z nich przypadnie w niedzielę, w takim razie odprawia się dniem pierwéj, to jest w sobotę; właśnie jak to nam się zdarza w tym roku. Boże Narodzenie przypada w poniedziałek, w niedzielę przecież ani postu ani wigilji nie obchodzimy, tylko w sobotę, to jest dnia 23 grudnia

[2]) Msza śpiewana przed świtem w Adwencie, podczas któréj 7 świec pali się na ołtarzu, zwie się *Roratami*, dla tego, iż się zaczyna od słów: *Rorate coeli*, to jest: „Spuśćcie Niebiosa rosę!” Początek jéj sięga XII-go wieku. Siódma świeca na środku ołtarza, oznaczą N. M. Pannę, jako jutrzenkę poprzedzającą przyjście Chrystusa. *(Przyp. Aut.)*

Na takich więc, lub tym podobnych gadkach, kawał wieczoru schodzi, jakby nigdy nic, a każdy słucha z zajęciem, i coraz nowe, a zajmujące roją się i sypią klechdy, przypadki i baśnie.

Ale nareszcie i gadek i cudownych dziejów i słów zabraknie, a wieczór tak długi, a świeca już gaśnie, oléj się wypalił, i oczy się kleją i dzieci znużone, zmęczone posnęły;—w chacie stopniowo cisza zalega. Czasami tylko, wybąknie kto nawpół senne słówko, chrapnie niechcący; czasami kot mjauknie pod łóżkiem, pies ziewnie i szczeknie na dworze, a zresztą wszędzie tak cicho i głucho, jak w bezludnym stepie.

Naraz uderza dwunasta, i każdy przeciera oczy. Z kościelnéj wieży, grzmią w niebogłosy dzwony, a wszyscy już na nogach. Znów gwar, znów hałas, każdy się kręci i szuka, to kija, to książki od nabożeństwa, to czapki lub płaszcza. Rozkołysane dzwony, jęczą i jęczą, i do modlitwy wzywają; wszystkie gwiazdki wysypały się rojem po Niebie, patrzą i migają, niby łzawemi oczkami, że co rok mniéj ludu ciśnie się do kościoła, że już i poczciwe pastuszki, zapominają się pokłonić Narodzonemu Dzieciątku. Kapłan wychodzi przed ołtarz i rozpoczyna pierwszą mszę św., zwaną *Pasterką* albo *Pasterską*; organy huczą radosną pieśnią, gdzieniegdzie słychać ligawki, słowików, płacz dziecka, świergot ptasząt, wszędzie wesoło, świątecznie, niby na godach [1]). I w duszy także świąteczniéj, i w piersi nawet weseléj, kiedy to usłyszysz: „Anioł pasterzom mówił." — „W żłobie leży." — „Bóg się rodzi"—lub znane ci z kantyczek, o Kubie, o Maćku i Kazimierzu, jak sobie szli do szopki, witać Dzieciątko z różnemi darami, z sérem, masłem i gruszkami, jak, ujrzawszy Jezusa, z radości poczęli tańczyć, grać i przyśpiewywać, aż się św. Józef przeląkł tak dziwnego głosu baraniego—o! to ci się zdaje, że w Betleem jesteś, że widzisz złożonego Zbawcę na sianku i Marję przy żłobku i gwiazdę na wschodzie i Aniołów zstępujących z Nieba i śpiewających: „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobréj woli!"

Ks. Drużba.

KSIĄDZ BISKUP JAN ALBERTRANDY.

Nie potrzeba wysokiego urodzenia i licznych przodków, ani bogactw i majątków, aby się wznieść do zaszczytów i godności, bo kazdemu do tego jest otwarta szeróka droga, każdy może dostąpić godności; trzeba tylko nauki i pracy, aby się odznaczyć i na wyższym w społeczeństwie postawić stopniu. Aby to wykazać, wzięliśmy sobie za przykład księdza Jana Albertrandego, syna mieszczanina Warszawskiego.

Włoch z pochodzenia, urodził się w Warszawie 1731 r., a ojciec jego, który przybył do Polski i kraj ten obrał sobie za nową ojczyznę, starał się trzem swym synom jak najstaranniejsze dać wychowanie, co się skutecznie przyczyniło do rozwinięcia wrodzonych im zdolności. Z tych też młodszy syn Antoni, był nadwornym malarzem króla Stanisława Augusta i napisał dzieło o malarstwie i snycerstwie; Jan zaś początkowe nauki pobierał u Jezuitów, którzy, upatrując w nim bystrość, zdolności, niezmordowaną pilność i siłę pojęcia, która samych nawet nauczycieli zadziwiła, piętnastoletniego jeszcze młodzieńca skłonili do przyjęcia ślubów zgromadzenia, bo tuszyli sobie, że wynikną z niego obfite dla nauk korzyści, a zaszczyty dla zakonu. Nie zawiedli się też w oczekiwaniach swoich; Albertrandy bowiem już w 19 roku życia o tyle był naukowo uzdolnionym, że otrzymał przeznaczenie na publicznego professora w kolegium Jezuitów w Pułtusku, a późniéj w Płocku, Nieświeżu i Wilnie, gdzie wielu pomiędzy uczniami swymi liczył wiekiem od siebie starszych. Z niewymowną łatwością wyuczył się języków: hebrajskiego, greckiego i łacińskiego, niemniéj jak francuzkiego, włoskiego i niemieckiego, a w późniejszych latach i angielskiego; niektóremi z nich, nawet pisał poprawnie. Szczególna jego pamięć była mu w tem wielką pomocą; gdyż rzecz raz słyszaną, chociażby najdłuższą, był w stanie natychmiast powtórzyć bez żadnéj pomyłki. Tak np. zdarzyło się raz, gdy był na dworze arcybiskupa Łubieńskiego, podsłuchawszy starego jezuitę, który dla wprawy głośno w pokoju przepowiadał sobie swoje kazanie, które miał mieć na summie, Albertrandy wszedłszy na ambonę na rannem nabożeństwie, co do słowa toż samo kazanie wypowiedział i wprawił przez to w niemały kłopot owego sędziwego jezuitę. Ale też Albertrandy tych od Boga mu udzielonych zdolności nie marnował.

Nie długo cieszyli się nim Jezuici; gdyż r. 1760 Józef Jędrzéj Załuski, biskup Kijowski, utworzywszy w Warszawie publiczną bibliotekę z około 300,000 tomów złożoną, wezwał go tamże na bibliotekarza, do uporządkowania tego ogromnego księgozbioru i ułożenia katologu. Albertrandy zupełnie godnie odpowiedział temu wezwaniu; w ciągu lat kilku opisał i ułożył ten narodowy skarbiec, a nawet wynalazł w nim nowe źródła i skarby, tamże dotąd ukryte. Poczem prymas Łubieński r. 1764 powierzył mu wychowanie wnuka swego, Feliksa Łubieńskiego, późniejszego za księstwa Warszawskiego ministra sprawiedliwości. Lecz od tego nowego zadania aż nadto często był odrywany; gdyż prymas, osobliwie w czasie ówczesnego bezkrólewia, po śmierci Augusta III, obarczony pracą i spadającemi na niego wśród takiego położenia zatrudnieniami, wyręczał się często Albertrandym, zasięgał jego zdania i rady w sprawach publicznych i gabinetowych. Dopiero po śmierci prymasa, zajął się na dobre powierzonym mu wychowańcem; udał się z nim najprzód do konwiktu XX. Jezuitów w Warszawie, który zostawał wtedy pod zarządem uczonego X. Karola Wyrwicza. Tam poświęcał się sam przez czas niejaki astronomji, dla nauki ucznia swego, napisał w skróceniu Historję Rzymską i Dzieje Polski; następnie towarzyszył mu na akademją do Sienny we Włoszech, gdzie przeszedł kursa botaniki i mineralogji, a potem udał się z nim do Rzymu. Pobyt jego w stolicy chrześcijaństwa, stanowi najważniejszą chwilę w życiu Albertrandego i najważniejszą epokę w literackim jego zawodzie. Czując, że obowiązki zakonne utrudniały mu naukowe prace, uzyskał od

---

[1]) Jest po niektórych parfiach i klasztorach na prowincji, zwyczaj, że w czasie *Pasterki*, chłopcy na chórze grają na ligawkach, udając śpiew słowika, płacz dziecięcia i ryczenie wołu, imitując niby radość wszystkiego stworzenia w tak ważnéj chwili. Dobreby to było, gdyby naśladujący te głosy, zachowywali się w kościele nierównie skromniéj niż dotąd. Bo, o ile mnie się zdarzyło słyszeć coś podobnego, zawsze byłem temi imitacjami zgorszony. Nie dość, że między niemi odzywały się te same baranie głosy, które wystraszyły św. Józefa, ale co większa — jakieś wilcze czy też niedźwiedzie. Sądzę, że ci, do których to należy, potrafią uwolnić Przybytek Pański od takiéj nadal niesforności.

(Przyp. Aut.)

jenerała zakonu pozwolenie przejścia do stanu kapłanów swieckich, chociaż pozostał zawsze wiernym swym pierwotnym ślubom. Oddany z zapałem badaniom starożytności, wśród tak licznych i szacownych zabytków przeszłości, najobfitsze zbierał żniwo w swych narodowych pracach. Z owym wychowańcem odbywał naukowe podróże po Włoszech, i zebrał dla niego dokładny zbiór medali greckich i rzymskich, który uporządkował i szczegółowo opisał. Jednocześnie zaś jeszcze gromadził dla niego zbiory historji naturalnéj. R. 1778 powrócił do kraju, a wychowaniec jego, Feliks Łubieński, który wtedy właśnie rozpoczął swój zawód polityczny i usługi krajowe, przedstawiał go królowi. Gdy r. 1775 Łubieński ofiarował monarsze ów zbiór starożytnych medali, we Włoszech zgromadzony, Stanisław August powierzył dozór jego Albertrandemu, jako jego zbieraczowi i zarazem mianował go swym lektorem. Poznawszy zaś biegłość jego w literaturze i bibliografji, oddał mu także w zarząd swą własną bibliotekę i zbiór rycin. Kilka lat więc znowu spędził na uporządkowaniu i opisaniu téj królewskiéj biblioteki, mając do pomocy pełnych poświęcenia dla nauki: Prażmowskiego, Wolskiego i Gawrońskiego. Gdy zaś Naruszewicz, z natchnienia króla, zaczął pisać historją narodu polskiego, i gdy książnica królewska służyć mu miała głównie ku pomocy, wtenczas Albertrandy, jako bibliotekarz, starał się pomnażać jej zbiory we względzie historycznym, aby przyjść w pomoc pracy Naruszewicza, i w tym celu kopjował rozmaite akta, pisma i dokumenta. Jako gruntowny znawca dostrzegł wkrótce, czego tam brakowało do dziejów polskich i gdzieby potrzebnych materjałów do tego przedsięwzięcia szukać należało. Przedstawił to królowi, który go natychmiast opatrzył w potrzebne fundusze i wysłał do Włoch, aby tam przejrzał i zebrał w bibliotece Watykańskiéj w Rzymie i w innych znaczniejszych bibliotekach i archiwach, coby tylko z dziejami polskiemi jakikolwiek związek mieć mogło. Od roku 1782, trzy lata poświęcił téj mozolnéj pracy, 110 tomów własną ręką napisał z różnych dokumentów, i z tym obfitym plonem swych poszukiwań, pomnożonym jeszcze wykopaliskami z Herkulanum i Pompei, wrócił do Warszawy, któremi bibliotekę i zbiory królewskie starożytności pomnożył. Król zaś, oceniając jego zasługi, obdarzył go złotym medalem z napisem: „Merentibus" i orderem św. Stanisława, gdy poprzednio już konstytucją sejmową z r. 1776 wyniesiony był do stanu szlacheckiego.



No, napij się dziecko do gości!—(str. 409, szp. 2).
(Rysował Tegazzo—wycięto w drzewotni Lipskiéj Webera).

Wiedział Albertrandy także, iż obfite materjały do dziejów polskich znajdować się musiały w Szwecji, dokąd wśród kilkokrotnych wojen i najazdów na Polskę, biblioteki i archiwa polskie w znacznéj liczbie uwiezione zostały. Powtórnie więc wysłał go król r. 1789 do Upsali i Sztokholmu, gdzie znów w bibliotekach rządowych i archiwach prywatnych, gdzie tylko mógł się dowiedzieć w Szwecji, że się znajduje jaki materjał do dziejów Polski, zebrał i przepisał kilkadziesiąt ksiąg. Dodać zaś przytem należy, iż nie mając w Szwecji pozwolenia do robienia wyciągów, pisał z pamięci za powrotem swoim do mieszkania, to co w tych archiwach i bibliotekach przeczytał, do czego mu dopomagała jego nadzwyczajna pamięć, o któréj powyżéj wzmiankowaliśmy. Będąc bibliotekarzem królewskim, nie tylko uporządkował jego bibliotekę, ale nadto ułożył katalog jéj krytyczny, to jest przy każdem dziele dodał jego treść i rozbiór, co też było pracą nie małą. Katalog ten, składający się z 10 tomów in 4-to, dostał się późniéj, wraz z samą biblioteką królewską, za staraniem Czackiego, do wołyńskiego gimnazjum w Krzemieńcu; rękopisma zaś owe i wypisy dla Naruszewicza do dziejów polskich zebrane, oddał potem Albertrandy Tadeuszowi Czackiemu do Porycka. Za tyle prac podjętych, przedstawił go król na biskupa, gdyż już był kanonikiem gnieźnieńskim i warszawskim; lecz tę godność biskupią otrzymał, kiedy król już był na zawsze opuścił Warszawę, i konsekrowany był na biskupa Zenopolitańskiego w r. 1796. A gdy w Warsawie zawiązano Towarzystwo przyjaciół nauk, Albertrandego wybrano na jego prezesa i przewodniczył mu przez lat ośm, aż do swéj śmierci. Umarł d. 10 sierpnia 1808 r.; pochowany w Warszawie, w kościele archikatedralnym św. Jana, gdzie też nagrobek jego się znajduje.

Pracowitość jego była niezrównana; dla tego też, pomimo tych zatrudnień, pozostawił po sobie wiele dzieł drukowanych jak: Dzieje Królestwa Polskiego, porządkiem lat opisane, Dzieje Rzeczypospolitéj rzymskiéj, Zbiór wiadomości gospodarskich, — chociaż to dzieło wielu Wyrwiczowi przyznaje, Zabytki starożytności rzymskich w pieniądzach, pospolicie medalami zwanych. Oprócz tego, wiele prac jego znajduje się w pismach czasowych, ówcześnie w Warszawie wydawanych: w Monitorze i Zabawkach przyjemnych i pożytecznych, a wiele mów i rozpraw, w Rocznikach towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk. Daleko zaś więcéj pozostało po nim rękopismów, których część dostała się do byłego uniwersytetu wileńskiego, inne zaś mają się znajdować w bibliotece króla Saskiego lub u książąt Sapiehów, powiększéj części własną ręką Albertrandego pisanych. Najważniejsze z tych, które się do Wilna dostały, ogłosił następnie Żegota Onacewicz drukiem,

jak: Panowanie Henryka Walezjusza i Stefana Batorego, królów polskich, daléj, Panowanie Kazimierza, Jana Alberta i Aleksandra Jagiellończyków, Edward zaś Raczyński, wydał przez niego napisane: Dwadzieścia sześć lat panowania Władysława Jagiełły, króla polskiego. Rękopism także do 200 arkuszy ścisłego pisania zawierający: Historja polska medalami zaświadczona i określona, wcielony został całkowicie w podobne dzieło Ed. Raczyńskiego, pod napisem: Gabinet medalów polskich. Podają o nim także, iż napisał jeszcze: Historję Kapituły Warszawskiéj.

Wyliczyliśmy tu powyższe dzieła, aby choć w części przedstawić jego niezrównaną pracowitość, ale wyliczanie wszystkich prac jego, należy raczéj do zupełnego jego życiorysu, nam się tylko dziwić należy, iż mu na to wszystko czasu starczyło; sam zaś mówi o sobie, że przy układaniu krytycznego katalogu biblioteki królewskiéj, przez dwa lata i pięć miesięcy, ani dnia jednego, nawet w największe święta, w pracy téj nie spoczął, pracując najczęściéj po 18 godzin codziennie, nigdy zaś mniéj jak 8 do 10. Niech więc to służy za przykład niejednemu wyrobnikowi i pracującemu na swój kawałek chleba, który się skarży może na swój los i swe uciążliwe życie.

Emil Kierski.

KRAKOWIANKA.

(Ciąg dal.—Ob. N. 44 do 50)

Gdy tę piosnkę śród śmiechu i uciechy przespiewali, przyczem Janek szturchał ciągle Piotrusia, żeby także śpiewał, wyszedł do nich Ambroży z talerzem w ręku, niosąc jajka i placki ze serem i szynkę. I częstował wszystkich, i życzył długiego zdrowia, a parobcy obejmowali go za nogi, jako statecznego gospodarza, i szanowanego kmiecia. Wtedy we drzwiach ukazała się główka pięknéj Maryny. Ledwie ją Janek zoczył, zaraz też na nią chlust wodą studzienną, którą miał w imbryczku w Krakowie na Skałce kupionym. Dziewczyna krzyknęła, i skryła się w sień, drzwi za sobą zamykając. Ambroży zaś, widząc Piotrusia smutnego i ledwie nie płaczącego w téj całéj wesołéj kompanji, zwrócił się do niego i rzekł: A cóż to? wszyscy tacy weseli, a ty ledwie nie płaczesz?

— Ej, to taki mazgaj, zawołał Janek, wysuwając Piotrusia naprzód.

— Nie trzeba się śmiać, mówił Ambroży, wszystko będzie dobrze. Chodźcieno wszyscy do izby, to wam moją dziewuchę pokażę. To mówiąc, zapraszał wszystkich do siebie, a zdziwionego Piotrusia sam wziął za rękę, i zaprowadził do izby. Piotrusiowi ledwie się co nie stało ze wstydu, dla którego nie mógł nigdy spojrzeć nawet na Marynę, od owéj sceny za płotem; z drugiéj zaś strony; jakaś otucha rodziła się w jego sercu, gdy widział, że sam Ambroży obchodzi się z nim tak po przyjacielsku. Gdy weszli wszyscy, stanęli najprzód przez skromność przy drzwiach, a Ambroży zawołał na Marynę, która się gdzieś w drugiéj izbie ukrywała, aby wyniosła wódki i poczęstowała gości. Posłuszna Maryna wyszła zaraz do pierwszéj izby, i była śliczna, jak prawdziwa Krakowianka. Duże jéj niebieskie oczy świeciły się ogniem życia i piękności, a piękne czarne włosy, połyskały się jak heban delikatnie wypolitürowany. Wszedłszy, gdy się skłoniła gościom, na widok Piotrusia zadrżała.... Ambroży poznał ten dreszcz uczucia;—był pewien już, że się nie pomylił w swoim domyśle.

— No, napij się dziecko do gości! w ręce tego mazgaja, co drży jak osika, i boi się ciebie, jakbyś to była niezdarna albo czarownica jaka.

Maryna zapłoniła się od wstydu, i fartuszkiem zakrywała sobie twarz. Ale skoro Ambroży kazał, wzięła flaszkę z wódką i kieliszek do rąk, nalała odrobinkę i wypiła; splunąwszy zaś, i znowu fartuszkiem ze wstydu twarz zasłaniając, odwróciła się od gości.

— A lejże gościom wódkę, mówił Ambroży. Nie widzisz jak czekają niecierpliwie. Na te słowa drżącą ręką nalała kieliszek pełny, i podawała go trzęsącemu się także Piotrusiowi. W téj chwili spojrzała mu po raz pierwszy w oczy; on nie mógł także nie patrzeć się na nią; to też gdy brał z jéj rąk kieliszek, ujrzał ją, od tak dawna, ujrzał po raz pierwszy tak zbliska, i..... zagapiwszy się, upuścił kieliszek na ziemię.



Puściliśmy się jak strzała ku Pińskowi.—(str. 412, szp. 1).
(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Styfi).

— A cóż wy też robicie, mazgaje, rzekł zagniewany nibyto Ambroży,— podnosząc kieliszek z ziemi. Rozlewacie mi wódkę—i każecie czekać chłopcom, takim grzecznym na siebie. Daléj chłopcy, zróbcie no śmigust tym mazgajom. Zaledwie to powiedział, Janek chlusnął znowu na Marynę obficie strugą wody, a inni oblewali do syta Piotrusia. Co się tam wtedy w sercach obojgu działo, trudno tak na prędce opisać; dość, że Ambroży uweselony i uszczęśliwiony z téj całéj sceny, obczęstował chłopaków co się zmieściło, i żegnając ich, zatrzymał Piotrusia, który ledwie mógł przyjść do siebie z podziwu i uniesienia.

— A ha! mam cię teraz ptaszku! mówił Ambroży do niego, gdy już parobcy wyszli,—toś to ty mi narobił tyle kłopotu w domu. To przez ciebie mi dziewucha posmutniała. Gadaj zaraz, czy wy się znacie z moją Maryną. Struchlały Piotruś przebąknął; Ej... bo... to... nie... i tym podobne słówka, ale w końcu poczciwy Ambroży, pogłaskawszy go po głowie, i przycisnąwszy do serca, rzekł: No, no: bądź spokojny, mój chłopcze, nie bój się. Nic ci się złego nie stanie. Piotruś nabrał odwagi; opowiedział scenę za płotem, a Maryna ze łzami w oczach słuchała jego opowiadania.

— I czemuż nie było przyjść do mnie odrazu. Czy my to tacy hardzi?

— Ej, moiściewy, to tak jakoś było mi wstydno, mówił Piotruś.

— A czemużeś mi ty tego nie powiedziała? Maryna.

— Ja myślała, że to figiel. Bo kiedym wróciła do sadu, już nikogo nie było za płotem. Piotruś uszczęśliwiony, zachwycony prawie, chciał pożreć oczami Marynę.

— Więc odtąd kochałeś moją Marynę?

— A jużci, całem sercem, rzekł schylając się Ambrożemu do kolan.

— A ty Maryna?

— Ja bo już odtąd nie miałam spokoju w duszy.

— Więc się kochacie i będziecie się kochali?

Piotruś spojrzał na Marynę, a ona na niego, i zrozumieli się w tém spojrzeniu. U nich w jednéj chwili odbyło się to wszystko, co, jakto po innych książkach piszą, odbywa się przez długie miesiące i lata.

— Ano, to pocałujcie się oboje.

Na taki rozkaz Antoniego, Piotruś chwycił za rękę Marynę, i ognisty pocałunek złożył na jéj rumianéj twarzyczce.... Wtem dały się słyszeć przed chałupą nowe śpiewy. Byli to ci sami parobcy ze śmigustu, którym tak zasmakowała chata Ambrożego, że się do niéj znowu z *Traczem* czyli z Barankiem wrócili. Janek zaś, dorozumiewający się *miłości* między Piotrusiem i Maryną, i mówiący nawet głośno, aby się niby załgali z *Traczem*, a Piotrusia oderwali od dziewuchy. Jestto już bowiem w naturze młodych chłopców, że lubią na przekór robić zakochanym kawalerom, nie ze złego serca, ale z figlów. Więc stanąwszy przed chatą, podnieśli do góry na dużym drągu przyrządzonego z drzewa *tracza*, kiwającego się za poruszeniem kółek, jakby rznął drzewo. Na dwóch kółkach zaś mieli osadzoną skrzynkę, i w niéj baranka drewnianego, umajonego choiną i bukszpanem. Janek zaś znowu zaintonował następującą piosnkę:

Aj, nie dajcież wy nam
Jednego jajeczka,
Boby nam go wzięła,
Nadobna dzieweczka,
A ino nam dajcie
Dziesięć parek jajek,
Kołacza kawałek;
Prosił tracz o kołacz,
A traczka o sperkę,
Żeby wysmarować,
Traczowi piłkę,
Żeby lepiéj rżnęła
Na nowo robiła.

Ambrożego nie zgniewały wcale te powtórne odwiedziny. Owszem z wielką ochotą, i z całą gościnnością, właściwą polskiemu wieśniakowi, wyszedł do parobków, poczęstował ich, a biedniejszym nawet i pieniądze dawał, wedle zwyczaju.

Zaprosił ich znowu do izby, a Janek wszedłszy, zbliżył się zaraz do zupełnie zmienionego *Piotrusia* i dawszy mu szturchańca, szepnął, a dokądże ty będziesz przy téj dziewusze siedział. Przyszliśmy ta po ciebie. Chodź z nami!

— Chodź z nami! chodź z nami! zawołali wszyscy za Jankięm, i wypiwszy znowu po kubeczku, skłoniwszy się gospodarzowi i wesołéj Marynie, zabrali go ze sobą i poszli. Piotruś zupełnie był inny. Jedno widzenie się z Maryną, wyleczyło go z całéj choroby, na którą doktorzy nie mają, i nie będą mieli nigdy lekarstwa. Poszedł wesoły z parobkami, i śpiewał nawet z niemi przy śmiguście i Traczu, a co się mu działo w sercu, niech sobie każdy taki Piotruś wyobrazi.

Gdy wrócił na obiad do domu, opowiedział ojcu całą przygodę. Antoni nie mógł się nabłogosławić Ambrożego, wdzięczny będąc parobkom za pomoc, i uzdrowienie syna; a Bogu modlitwą serdeczną podziękował za odwrócenie nieszczęścia. Ale tak! szczęście i radość zawitały wprawdzie do jego chaty. Chłopak się uspokoił. Ale na długo to wszystko. Jutro przecież wezmą mu syna do wojska. Nie trzeba nigdy rozpaczać. Z wolą Boga zgadzający się, ratuje się wtedy nadzieją, i w największem strapieniu, powtarza sobie te wiersze, które jeden sławny poeta polski, Kochanowski, przed trzystu przeszło laty napisał:

Nie porzucaj nadzieję,
Jakoć się kolwiek dzieje,
Bo nie już wiecznie słońce twe zachodzi,
A po złéj chwili piękny dzień przychodzi.

Tak też i Antoni i Ambroży, Piotruś i Maryna zrobili. Pocieszeni i uszczęśliwieni zbliżeniem się do siebie dwojga młodych, kochających się od roku, statecznie, z poddaniem się woli Najwyższego, czekali co im przenieść jeszcze każe, nie tracąc nadziei w pomyślną przyszłość, choćby ta nie była jeszcze tak blizką.

V.

Rzeczy jednakże smutny obrot wzięły. Piotruś musiał stawać do miary: lekarz wojskowy wymówił nad nim okropne słowo: *tauglich*, znaczące zdatny, ale zawierające w sobie straszny wyrok porzucenia domu, ojca, kochanki, a nawet i kraju rodzinnego. Wzięto go zaraz do drugiéj izby, gdzie mu ostrzyżono włosy przy saméj głowie, i dano jakiś *kabat* stary, aby natychmiast ucharakteryzować go po żołniersku. Antoni, obecny przy asenterunku Piotrusia, miał oczy zalane łzami, tożsamo Ambroży. Ale Maryna nie płakała wcale, choć ją okropnie serce bolało, gdy widziała, że jéj najdroższego zabierają do wojska, na lat ośm, na lat okropnie długich ośm.... O! Boże mój Boże! myślała sobie w duszy, jak to będzie okropnie czekać tak długo na niego. Bo trzeba wiedzieć, że Maryna, pokochawszy Piotrusia całem sercem, nie mogła ani pomyśleć tego, żeby go nie dostać na wieki. Serce poczciwéj, prawdziwéj Krakowianki, umie być stałem, i gdy raz pokocha, kocha już wiecznie. Dobroć zaś jéj i wrodzona uczciwość, nie pozwalały także rodzić się złym myślom powątpiewania o stałości Piotrusia; pewna była, że skoro ona go kochać ciągle będzie, i on także nie zapomni o niéj. Tak więc okoliczność ta, że go wzięto do wojska, nabawiała ją tylko tęsknoty i smutku, ale nie przyprowadzała wcale do desperacji lub rozpaczy. *Piotruś*, więcéj okazywał boleści swego serca. Kiedy go bowiem mieli już odstawiać do Wadowic, (miasteczka za Wisłą cztery mile położonego), pozwolono mu pożegnać się z ojcem i przyjaciołmi, Antoni z Ambrożym i z Maryną przybyli do Krakowa;—widzieli się z nim, i naznosiwszy mu różnych drobiazgów na drogę, pożegnali się z nim serdecznie. Piotruś miał ciągle łzy w oczach. Maryna uspokajała go jak mogła. Nie bój się, mówiła do niego, mnie się tu nic nie stanie; byleś ty się trzymał tam w świecie. Módl się

często do Boga,—a o mnie wiedz, że na ciebie zaczekam. No, to ci już dosyć powiadam. Lecz ciesząc tak i spokojąc kochanka, sama się biedaczka rozpłakała. Płakali więc wszyscy. Pożegnanie trwało nie długo. Oddział rekrutów wyruszał w drogę. Piotruś w nieszwarcowanych butach, w czapeczce zwanéj *holcmicla*, (bo w niéj ubrani, drzewo noszą żołnierze), w płaszczu wojskowym, mając na sobie przewieszoną torbę z szarego płótna z różnemi bagażami, ucałowawszy ręce ojcu swojemu, ścisnął Ambrożego za kolana, i pocałował go także w rękę, co go bardzo ucieszyło i ujęło; Marynę zaś pocałował poraz ostatni w buzię, i przeżegnawszy się krzyżem świętym wymaszerował. Długo jeszcze patrzyli za odchodzącym transportem rekrutów znajomi nasi, a gdy im już znikli z oczów na drodze z Podgórza i Mogilanom prowadzącéj, zwrócili się, i milcząco wracali w żalu i smutku do Krakowa i do domu. Ambroży i Antoni cieszyli jak mogli Marynę, któréj dopiero teraz na prawdę łzy jak groch leciały z oczów, zdając wszystko na wolę Bożą, pocieszali ją i siebie nadzieją powrotu.

Od tego czasu zaczęły się smutne lata w życiu Maryny. Słonko wesołości i pogody zaświeciło jéj na chwilę, jak gdyby tylko po to, aby go późniéj żałować. Toć też śpiewała sobie:

Już ci ja na prawdę jestem se sierota,
Bo cóż moje życie; jeśli nie zgryzota.
Zgryzota, tęsknota,—wieczne utrapienie,
Daleko—daleko moje pocieszenie.

Teraz jednak już nie tak, jak przez rok ów cały martwiła się gorzko o Piotrusia. Wtedy kochając go, nie wiedziała, czy on myśli nawet o niéj, teraz tęskni wprawdzie za nim, źle jéj z tém, że go nie widzi, ale wie, o! dobrze wie o tem, że on ją kocha, że o niéj pamięta; że tam ani *grefina italiańska*, nie wyrzuci jéj z jego serca. Boleść więc jéj teraźniejsza była mniejszą, bo najprzód, choć długi to czas lat 8; wiedziała, że tylko tyle czekać trzeba, a wtedy, czyliż myślała o tém, że się kiedy zbliży do niego? Wtedy bolała ją obawa, teraz sama tylko tęsknota, kojona wrodzoną Krakowiance cierpliwością, wiarą w Miłosierdzie Boże, i ufnością w szlachetność serca Krakowianina. To też i na to miała swoją piosenkę:

Smuci się Maryna! oj strasznie się smuci,
Ale się tem cieszy, że jéj Piotruś wróci.
Wróci Piotruś, wróci, przed księdza zawiedzie,
A po weselisku znowu szczęście będzie.

Czasem jéj pociechą bywały także i listy, koślawemi wprawdzie literami, ale pisane przez samego Piotrusia. Jeździł on po różnych krajach, był w Wiedniu, Tryjeście, Wenecji; innym znów razem stał w niemieckiem mieście związkowem, co się nazywa Rasztadt, gdzie mu było najgorzéj, bo nic po polsku nie mówili tam ludzie. Opisywał więc Piotruś to, co widział pięknego, ale największą część listu do ojca, zabierały słowa wystosowane do Maryny, dla któréj był zawsze takim samym, jakim go pożegnali.

Tak upłynęły miesiące, lata, a w wiosce naszéj nic się nie zmieniało. Maryna zawsze była stała w swojéj miłości i nadaremne były wszystkie zabiegi parobczaków, którym bardziéj jéj wiano, niżeli ona sama się podobała. Antoni chodził do Ambrożego bardzo często, cieszył się przywiązaniem Maryny do Piotrusia, a Ambroży z początku, ani chciał słuchać próśb i projektów różnych osób, którzy mu przedstawiali, że jak wróci Piotruś, to Maryna będzie już starą, że lepiéj by było myśleć wcześniéj o jéj szczęściu; to było wszystko na nic, bo Ambroży kochający swoję Marynę, chciał i postanowił tak robić, jak ona sama będzie chciała, a nie myślał wcale zmuszać jéj, ani narzucać kogoś innego na męża. Maryna zaś śmiała się z każdéj takiéj uwagi robionéj czasem przez troskliwych nibyto o nią ludzi; a w duszy sobie powtarzała słowa swojéj ulubionéj piosnki:

Nieszczęliwy czasie,
Pokochaliśwa się,
Przyszła ta godzina,
Rozejść się musima.
Choć się rozeszlima każde w inną stronę,
Jednak nasze serca są nierozłączone.

Zdarzyło się jednakże w szóstym już roku wojaczki Piotrusiowéj, że raz po sumie w niedzielę (a była to zima okropna), kiedy Antoni poszedł do poblizkiéj wioski (a nie do Krakowa, jak zwykle), na nabożeństwo, zawezwał go ksiądz pleban do siebie. Zdziwiły mocno Antoniego te zaprosiny księdza, szanownego bardzo, i zacnego człowieka; bo nigdy przed tem nie bywał u niego, ani też do jego parafji nie należał. Gdy wszedł, ksiądz pleban kazał mu usiąść, bo jak powiadał, miał dużo z nim do pogadania. *(Dokończenie nastąpi).*

GWIAZDKA.

Gwiazdka świeciła w obłoku,
I zaszła chmurą, — czy może
Ludzkiemu nie widna oku,
Na dalsze wbiegła przestworze.

I wołał tłum pospolity,
Którym ciemnota owładła,
Że Niebios rzucając szczyty,
Gwiazda w bezdenność upadła.

A mędrzec siedząc w ukryciu,
Co gwiazd obroty tłumaczył,
Dojrzał ją w szkieł swych odbiciu,
I czas jéj zwrotu oznaczył.

I prostak co żył z naturą,
Przez ducha głos tajemniczy,
Przeczuwał gwiazdkę za chmurą,
Wierząc, że gwiazdy Bóg liczy.....

Bo tylko prostota szczera,
I mądrość szczera, głęboka,
Tajniki prawdy przeziera,
Nieznane dla tłumu oka.

Jan Prusinowski.

ŻYCIE W PUSZCZY.

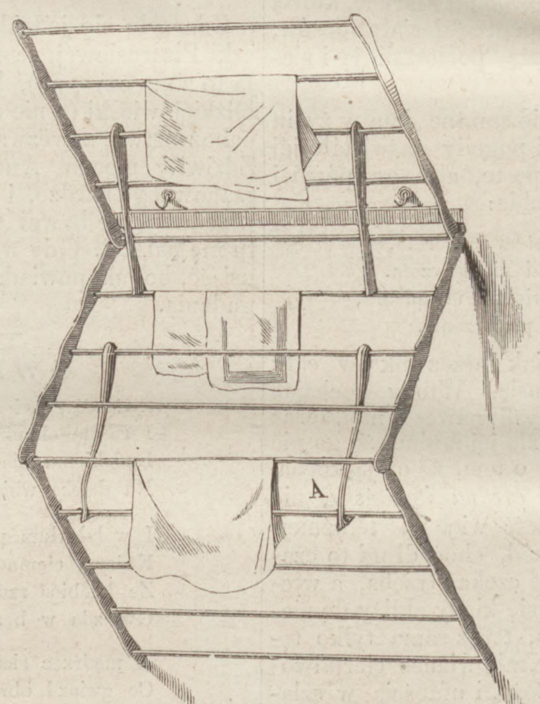
PAMIĘTNIK SPRAWIEDLIWEGO CZŁOWIEKA.

(Dokończenie.—Patrz Nr. 35 do 48).

Po trzech tygodniach téj śniegowéj zamieci, nastąpiła odwilż. Śnieg niknął prawie w oczach, a myśmy czekali, rychło będzie można wyruszyć się z domu, gdyż za tydzień nadchodziły święta Bożego Narodzenia, i wypadało koniecznie być przedtem w Pińsku na jarmarku, w celu zakupienia rozmaitych rzeczy. Jak na szczęście jednéj jeszcze nocy wiał wie-

trzyk ciepły, prawie że wiosenny, tak, że dużo śniegu upadło, a na drugą noc zaraz chwycił mróz, wszystko stwardniało, i choć trochę za ślisko, przecież można było wyruszyć saniami, zwłaszcza że konie ostro były kute. Jeszcze więc było ciemno, gdym założował sanie, Basia wzięła cały kosz grzybów suszonych na sprzedaż, a Tomasz dwa zające dzień przedtem koło domu ubite, i usiadłszy wszystko troje, puściliśmy się jak strzała ku Pińskowi.

Niema nic głuchszego i ponurszego jak leśna puszcza w zimie. Na obwisłych gałęziach sosen, leżał wysoko śnieg do pół stajały, uginając swym ciężarem wysmukłe ich pnie. Promienie słońca odbijały się jak w lusterku w lśniącéj białości śniegu i przeglądały przez sople przejrzystego lodu, które jak siwe brody wisiały u zielonych szpilek. Cichość była nadzwyczaj wielka; czasem tylko dochodził z głębi puszczy głuchy huk, jeżeli gdzie sosna pod ciężarem śniegów i lodu z trzaskiem upadała. Niebo było sine, ale czyste; i gdzie tylko słońce ukośnie spojrzało, tajała nieco wierzchnia skorupa lodu, bo zresztą mróz choć nie wielki trzymał ciągle.



Ulepszone wieszadło do bielizny.
(Rysował i wyciął na drzewie Kuczyński).

Jazda nam szła tak prędko, że nie wiedzieć jak i kiedy minęliśmy Wolicę; tu wytchnęliśmy chwilkę, a wzięliśmy się przez zamarznięte błota wprost ku Pińskowi na północ. Wiaterek mroźny był nam teraz prosto w oczy; konie machały często łbami, parskając, bo para jak biała pleśń osiadała im na nozdrzach, na pysku i grzywie, a na siwych wąsach Tomasza rosły niewielkie sople, niby na szpilkach sosnowych. Basia owinęła chustką głowinkę, jak stara babusia, i tylko świecące oczka błyskały jéj z pod chustki, a ja nacisnąłem czapkę na uszy i przerzucałem lejce z ręki do ręki, bo jużci nie było mi zbyt ciepło.

Kilka razy rozpoczynaliśmy gawędkę, lecz zawsze się jakoś urywało; więc każde myślało sobie, o swojem, a Tomasz kilka razy nakładał fajeczkę i kilka razy ją do czysta wykurzył, zaczem stanęliśmy w Pińsku.

Było już koło południa. Ludu na jarmarku jak nabił, boć to każdy, jako że przed świętami, miał sobie coś kupić w mieście. W karczmie, gdzieśmy zajechali, było już ledwie tyle miejsca, aby konie przy żłobie postawić; wóz został na przedsieniu. Tylko com koniom obroku nasypał, wychodzę na rynek, patrzę, i oto pierwszą zaraz spotkałem ową staruszkę z Korczówki, która mię chlebem obdarzyła, gdym się w świat wybierał. Poskoczę więc czemprędzéj do niéj, a kłaniając się do kolan zawołałem:

— Jakże się macie, moja Marto!

Staruszka wpatrzyła się nie poznawszy mnie zrazu; lecz gdy mi lepiéj spojrzała w oczy, odezwie się z radością:

—Słodki Jezu! a toćto Kosturów Antek, nie kto inny.

— A to ja sam! rzekłem. Czym się tak bardzo odmienił?

— Na psa urok, ale tęgo wyglądasz, moje dziecko, i tak wedle ciebie porządnie, jak wedle kmiecego syna, odpowie Marta.

— Ot, za łaską Bożą, jakoś się uchowałem.

— A gdzieżeś ty teraz jest? zapytała staruszka, że nic o tobie nie słychać? Myśmy myśleli, żeś się gdzie dawno zmarnował!

Więc ja opowiedziałem Marcie pokrótce, jakim sposobem dostałem się do Tomasza i co tam robię i jak mi tam dobrze, a tak ją to wszystko uradowało, że się aż rozpłakało poczciwe kobiecisko a gdym skończył to mię błogosławiła, mówiąc:

— Niechże ci Pan Bóg moje dziecko i nadal Swéj łaski użycza i broni od wszelkiego nieszczęścia, bo widać, że sobie wedle przykazań Jego postępujesz.

Lecz nietylko sama Marta z Korczówki była na jarmarku. Byli tam i dawni moi gospodarze, a ci cieszyli się także ze szczęścia mego, i od nich to dowiedziałem się, że się w Korczówce jako tako wszyscy pobudowali, i że im od onéj pory jakoś lepiéj się wiedzie. Rozpowiadali mi wreszcie kiedy będzie prażnik najbliższy, i zapraszali aby przyjść do nich, więc ja im obiecałem, że jeźli tylko Tomasz pozwoli, to ich raz przecie odwiedzę.....

W tem miejscu w Pamiętniku sprawiedliwego człowieka, znalazłem kilkanaście kartek przez mole zepsutych. Na odczytanie ich potrzeba dłuższego czasu, a że święta właśnie nadchodzą, przeto dalszy ciąg „*Życia w puszczy*," w przyszłym dopiero roku wam opowiadać będę.

Juljusz Starkel.

Ulepszone wieszadło do bielizny.

Przedstawione powyżéj na rysunku wieszadło, okazało się bardzo użytecznem i wygodnem. Składa się jak to widzimy z trzech ram równych rozmiarów, spojonych z sobą przy wierzchołkach. Za pomocą haczyków, w przeznaczonem miejscu do suszenia bielizny, zawiesza się je na ścianie, jak to wskazuje rycina, i wrazie użycia za pośrednictwem ruchomych prętów *A*, rozstawia się ramy wedle upodobania, gdy zaś narzędzie to nie jest potrzebnem, zwiera się za usunięciem rozpór i zawiesza równo na ścianie tak że całkiem prawie miejsca nie zabiera.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. — *Redaktor*, Adam Mieczyński.